

Pięć dni w Libanie

# Arabski kraj z fenicką duszą

Tygiel wielu religii i kultur, gdzie islam przeplata się z chrześcijaństwem, a prehistoria z teraźniejszością. Kraj, w którym XIII-wieczne zabytki są „młode”, a Hezbollah strzeże kamieni ociosanych przez kosmitów.

Jakie skojarzenia przychodzi na myśl Liban? Pierwsze to zapewne znany wszystkim, występujący w godle kraju cedr libański. Wspominany od niepamiętnych czasów w przekazach historycznych, wykorzystywany już przez Fenicjan do budowy okrętów, przywoływany wielokrotnie w Biblii, surowiec, z którego król Salomon zbudował Świątynię Jerozolimską. Drugie – bliższe naszym czasom, a bardziej zakodowane u starszego pokolenia – to obraz bogatego i aktywnego centrum bankowo-handlowego, wygrywającego na swym położeniu geograficznym między Wschodem a Zachodem, Północą a Południem, zwanego arabską Szwajcarią lub Szwajcarią Bliskiego Wschodu.

Czy dzisiaj te skojarzenia są nadal uprawnione? W tym roku nadarzyła się okazja, by sprawdzić to osobiście. W czerwcu 2019 r. Polskie Linie Lotnicze LOT wznowiły bowiem bezpośrednie połączenie do Bejrutu, ogłaszając możliwość zakupu stosunkowo tanich biletów. Propozycja wydawała się nie do odrzucenia, choć – jak to zwykle bywa – w momencie realizacji atrakcyjność ceny nieco spadła. Reklama jednak zadziałała i ryba połknęła haczyk. Do krainy Lewantu mieliśmy wyruszyć w drugiej dekadzie października w dwie pary, w tym dwoje dawnych arabistów.

Liban, wspominany wielokrotnie w Starym Testamencie, znany jest z miejsc historycznych, utrwalonych w historii świata od najdawniejszych czasów. Fenicjanie, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie... Aleksander Macedoński, Ptolemeusze, Jezus Chrystus, a potem Rzymianie, Bizantyńczycy, na przemian Arabowie i Turcy... Odwiedzali, oblegali, zdobywali te tereny. Dziś mieszkają tu obok siebie muzułma-

nie (ok. 55 proc.) i chrześcijanie (ok. 45 proc.). Ci pierwsi – w równej części sunnici i szyici. Ci drudzy – głównie maronici, choć grecki kościół prawosławny, obok melchickiego i ormiańskiego, też są zauważalne. Liban to tygiel, w którym wrze od wielu tysięcy lat. Ostatnie dziesięciolecie należą też do bardzo niespokojnych. Niewielki kraj, którego jedynie wąski pasek linii brzegowej nie leży w górach, wciśnięty jest między Syrię na północy i wschodzie, a Izrael na południu. Szwajcaria Bliskiego Wschodu została obrócona w przynę węskutek wyniszczającej wojny domowej z lat 1975-1990. Za broń chwycili wówczas niemal wszyscy, głównie chrześcijanie przeciw miejscowym muzułmanom wspieranym przez licznych rezydentów z Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Późniejsze konflikty z Syrią, Izraelem, walki między sunnitami a szyitami wybuchały na terenie Libanu mimo stacjonujących tam od ponad 40 lat tymczasowych sił zbrojnych ONZ (UNIFIL). Sytuacji nie poprawia ogromny napływ do tego niewielkiego kraju uchodźców z Palestyny, a ostatnio z Syrii.

Czy zatem Liban jest bezpiecznym kierunkiem turystycznym? Znajomi zadawali nam pytanie, czy nie boimy się jechać. Gdy już bilety były kupione, główne plany poczynione, a walizki przygotowane do pakowania, napłynęły wieści o incydencie na południu, przy granicy z Izraelem, a zaraz potem o decyzji prezydenta Trumpa o wycofaniu wojsk amerykańskich z północnej Syrii, czego skutkiem była ofensywa turecka przeciw Kurdom na tych terenach. Wszystko to z obu stron Libanu, o rzut kamieniem od Bejrutu. Sprawdziliśmy informacje na stronie MSZ – od dawna przestrzegano przed możliwością

Cedr widniejący na fladze państwowej jest rozpoznawalnym symbolem Libanu.



zamachów terrorystycznych, odwiedzaniem pogranicza, zarówno libańsko-syryjskiego, jak i libańsko-izraelskiego. Odradzano też wyjazd do doliny Bekaa, w której leży miasto Baalbek, a także zalecano unikanie południowych dzielnic Bejrutu, uważanych za bardzo niebezpieczne. Do najświeższych incydentów odniesienia jednak nie było. To przesądziło. Chęć odwiedzenia kolejnego kraju arabskiego pokonała obawy. Zgłosiliśmy naszą podróż w MSZ-owskim systemie Odyseusz, potwierdzając tym samym planowany wyjazd.

## Nocny przylot

Choć lot trwa jedynie 3,5 godziny, podróż do Bejrutu jest męcząca. Samolot ląduje planowo o trzeciej nad ranem, a nasz na dodatek wyleciał z Warszawy z godzinnym opóźnieniem. Na miejscu, na lotnisku im. Rafika Haririęgo, szczegółowa kontrola paszportów. Jak wiadomo, posiadacz izraelskiej wizy wbitej w dokument podróży nie wjedzie do większości krajów arabskich. Koleżanka Małgosia (zarówno małżonka Mariusza, jak i moja, noszą to samo imię) została dłużej zatrzymana przez urzędnika granicznego, który – po uważnym przejrzeniu paszportu – bardziej stwierdził, niż zapytał, że była w Izraelu. Była, ale śladu po wizie nie ma! Czyżby pozostałości kleju ze starej naklejki stanowiły ten drobiazg, który ją zdemaskował? A może, co gorsza, urzędnik dojrzał tę informację w swoim komputerze? Chwila niepewności... Wpuścili.

Mimo spóźnienia samolotu o 45 minut dostrzegam kartkę ze swoim nazwiskiem w sali przylotów. Czekają na nas cierpliwie kierowca zamówiony wcześniej w serwisie hotelu Mozart, w którym mamy spędzić najbliższych pięć dni. Z lotniska położonego na południowych krańcach miasta, gdzie według polskiego MSZ może być niebezpiecznie, ruszamy w gorącą i duszną bejrucką noc. Już za chwilę obok naszego leciwego daewoo, pędzącego pustą o tej porze autostradą, pojawia się inny samochód, trąbiąc nieustannie i spychając nas lekko ku prawemu poboczu. Czyżby już problemy?auta zrównują się, a ich kierowcy, nieco tylko zwalniając, rozpoczynają przez otwarte okna konwersację. Okazuje się, że jest to tylko przyjazna prośba zbłąkanego kierowcy o wskazanie odpowiedniej drogi, wszystko przy prędkości 90 km/h. Jesteśmy na Bliskim Wschodzie. Tu ludzie są uprzejmi.

Dalsza podróż przez wyludnione o tej porze miasto przebiega już bez zakłóceń. Przez kilka minut jedziemy wzdłuż *Corniche Beirut*, nad-



morskiej promenady, będącej ulubionym miejscem spacerów mieszkańców stolicy. O dziwo, nawet o czwartej rano miejsce to nie całkiem pustoszeje.

W hotelu okazuje się, że cierpliwość oczekującego na lotnisku kierowcy nie wynikała jedynie z poczucia obowiązku i altruizmu. Do ustalonej wcześniej, niemałej kwoty 25 USD, za spóźnienie samolotu musimy dopłacić jeszcze pięć dolarów.

Hotel jest czysty, pokój przestronny z nieco podstarzałymi sprzętami i słabym ciśnieniem wody. Mamy natomiast bardzo wygodne łóżko, sprawną klimatyzację i codzienny serwis sprzątający. Dodatkowy atut to drzwi w ścianie łączące nasz pokój z pokojem naszych współtowarzyszy, pozwalające później na ciewczorne integracyjne *pyjamas party*. Gdy zmęczeni po podróży zalegamy wreszcie w szerokim łóżu, za oknem odzywa się muezzin wzywający na *salat al-fadžr*, modlitwę o świtaniu, która tego dnia wypada o godzinie 5:08.

Po czterogodzinnej drzemce stawiamy się w hotelowej restauracji na śniadanie w formie bufetu. Obsługa nieco się ociąga z uzupełnianiem półmisek opróżnionych przez grupę Egipcjan w starszym wieku, którzy, jak się później okazało, przyjeżdżają do Libanu na leczenie. Z różnorodnością śniadaniowych przekąsek też szału nie ma, ale głodni nie wychodzimy. Idziemy w miasto.

## Trzy katedry, dwa meczety

Pierwszego dnia mamy zaplanowane zwiedzanie stolicy. Z hotelu położonego na zachodnim krańcu reprezentacyjnej ulicy *al-Hamra*, pełnej sklepów i barów z alkoholem, wychodzimy w stronę oddalonej o około 3 km Dzielnicy Cen-

Charakterystyczna zabudowa z piaskowca w centrum Bejrutu. W oddali wieża zegarowa na placu Gwiazdy.



Bejruckie *forum* z przylegającą maronicką katedrą św. Jerzego oraz meczetem Muhammada Amina.

tralnej. Skinienie ręki i już jedziemy minibusem. Ale dokąd? Pytamy pasażerów o pierwszy na naszej liście meczet Muhammada Amina. Mimo że jest to spektakularna budowla, wskazanie miejsca, gdzie powinniśmy wysiąść, aby było najbliżej, zajmuje dobrą chwilę. Konsylium wśród współpasażerów, kierowca też nie jest pewny, ale zatrzymuje się i dopytuje żołnierza strzegącego jednego z budynków centralnych. Ten podpowiada, gdzie podjechać, aby nam było łatwiej. Tu ludzie są uprzejmi.

Rozpoczynamy spacer po centralnej części Bejrutu. Wchodzimy w piękną kolonialną zabudowę z żółtego piaskowca. Niektóre kilkupiętrowe kamienice mieszczą na dole ekskluzywne butiki najdroższych marek. Tylko gdzieś opustoszałe budynki, przygotowywane dopiero do renowacji, przypominają, że jeszcze niedawno dzielnica ta nie była tak elegancka i ma za sobą dramatyczną przeszłość ostatnich dziesięcioleci.

Docieramy do miejsca niezwykłego. Przed nami bardzo rozległy, ogrodzony teren, pełen rzymskich ruin ze sterczącą samotną palmą i pięcioma kolumnami wzniesionymi na skraju. To pozostałości bejruckiego antycznego *forum*. Stoimy przy skrzyżowaniu dwóch głównych arterii komunikacyjnych wyznaczających – zgodnie z typowym rzymskim układem urbanistycznym – centralny punkt miasta. Na trójjęzycznej (arabski, angielski, francuski) tablicy

informacyjnej czytamy, że wzdłuż obu ulic, zarówno poprzecznej, zwanej *decumanus*, jak i prostopadłej do niej – *cardo*, ciągnęły się dziesiątki kolumn, za którymi znajdowały się świątynie i budynki publiczne. Dziś po owych budowlach zostały fragmenty fundamentów, rumowisko kamieni i kolumnad. Niemniej robi to wrażenie przede wszystkim swoim rozmiarem. Co ciekawe, obchodząc wokół teren ruin, trafimy kolejno do świątyń kilku wyznań. Wszak wielowyznaniowość to znak rozpoznawczy Libanu.

Pierwsza z nich to powstała w końcu XIX w. maronicka katedra św. Jerzego, wzorowana na Bazylice Matki Bożej Większej w Rzymie. Katedra bardzo ucierpiała podczas walk i bombardowań w czasie libańskiej wojny domowej (1975-1990). Odbudowana i odrestaurowana na początku obecnego wieku, cieszy oko pięknym wnętrzem.

Tuż obok, niemal przyklejony do katedry, wznosi się ogromny meczet Muhammada Amina z niebieskimi kopułami i czterema minaretami, wzorowany na domach modlitwy z klasycznego okresu architektury osmańskiej w Stambule. W piątek, w porze *salat az-zuhr* – modlitwy w południe, zwiedzać nie możemy. Nic dziwnego, jest to najważniejsza dla wyznawców islamu, obowiązkowa dla mężczyzn, modlitwa. Szczególnie ta piątkowa, odbywana w większym gronie. Jej znaczenie dla wiernych porównać można do niedzielnej katolickiej sumy. Na widok naszych zawiedzionych min, mężczyzna w średnim wieku zaprasza nas za półtorej godziny, po zakończeniu modłów. Tu ludzie są uprzejmi.

Okrążając ruiny dawnego bejruckiego forum, dochodzimy do kolejnego meczetu, z wejściem położonym w głębi uliczki. Drogę zagradza wojsko i kozioł z drutem kolczastym. Widać podjeżdżające ekskluzywne limuzyny, z których kilku VIP-ów udaje się wprost na modły. Turystów nie wpuszczają. To meczet al-Omari, odnotowany na naszej liście obiektów godnych uwagi. Jego historia jest charakterystyczna dla tego regionu. Zbudowany w czasach wczesnego islamu w VII w. i nazwany imieniem Omara ibn al-Chattaba, jednego z czterech kalifów sprawiedliwych, rządzących bezpośrednio po śmierci proroka Mahometa. Krzyżowcy zmienili go w kościół, a w końcu XIII w. Mamelucy ponownie przywrócili do funkcji meczetu. Wielokrotnie przebudowywany, był – podobnie jak katedra św. Jerzego – zniszczony podczas libańskiej wojny domowej i odbudowany na początku obecnego wieku.

Wędrujemy zatem dalej i stajemy przed... kolejną katedrą św. Jerzego przylegającą do ruin rzymskiego forum. Tym razem jest to jednak świątynia wyznawców prawosławia. Jej historia sięga czasów wczesnego Bizancjum i jest to najstarszy zachowany kościół w Bejrucie. Pierwsza świątynia na tym miejscu stanęła w V w. n.e. Przez wieki niszczona, m.in. przez trzęsienia ziemi, i ponownie odbudowywana. W naszych czasach zdewastowana i rozkradziona podczas – jak już możemy się domyśleć – libańskiej wojny domowej. W obecnym kształcie odnowiona Katedra Greckiego Kościoła Ortodoksyjnego pw. św. Jerzego ponownie oddana została wiernym w 2003 roku. Wnętrza nie można fotografować, ale poczucie obowiązku dokumentalisty bierze górę...

Z katedry wychodzimy na plac Gwiazdy (*Place de l'Etoile*). Nazwę swą zawdzięcza promieniście odchodzącym odeń kilku ulicom. Obecny plan urbanistyczny powstał w czasach francuskiego protektoratu po pierwszej wojnie światowej. W centralnym punkcie charakterystyczna wieża zegarowa (*Tour de l'Horloge*), będąca symbolem miasta. Jak podają niektóre źródła, mechanizm firmy Rolex z czterema tarczami w cztery strony świata działa nieprzerwanie od roku 1930. Trudno rozstrzygnąć, ile w tym prawdy – czy jest to legenda miejska, czy umiejętnie lokowana reklama. W latach wojny domowej centralna dzielnica miasta bardzo ucierpiała od ataków rakietowych i bombowych. Jaki był wówczas los zegara – nie wiadomo.

W latach 90. XX w., gdy opadł kurz bitewny, rozpoczęto rekonstrukcję Dzielnicy Centralnej. Odbudowana została też katedra kolejnego wyznania, zlokalizowana w pobliżu pozostałości bejruckiego forum. Położona nieopodal wieży zegarowej katedra św. Eliasza stanowi miejsce kultu dla wyznawców Greckiego Melchickiego Kościoła Katolickiego.

Obecnie cały kwartał zamknięty jest dla ruchu kołowego, co ułatwia nam niespieszną przechadzkę wśród eleganckich budynków z żółtego piaskowca. Niemało tu żołnierzy pod bronią, wszak chodzimy w pobliżu parlamentu, poczty głównej i wielu urzędów centralnych. Niemniej ani nasza obecność, ani nasze aparaty fotograficzne nie budzą większego zainteresowania u stróżów bezpieczeństwa.

Spacer wokół miejsc historycznych mamy już prawie zaliczony, a na powrót do meczetu Muhammada Amina jeszcze za wcześnie. Postanawiamy znaleźć zatem miejscowy bazar – arabski suk. Aplikacja w telefonie Mariusza znacznie ułatwia nam to zadanie. Pełzniemy mocno już

zmęczeni upałem – jest godzina trzynasta, a temperatura powyżej 30 stopni w cieniu – wśród rozgrzanych ulic i domów w stronę oznaczonego na mapie *Beirut Souks*. Po drodze jeszcze jeden meczet pełen piątkowych wiernych i już zza rogu wychodzimy na... dwa rzędy schodów ruchomych i biały budynek o koronkowej, futurystycznej architekturze. To jest Bejrut Suk – nowoczesne centrum handlowe z multiplexem kinowym, jakich pełno w wielu miastach świata.

Nie pozostaje więc nic innego, jak poszukać miejsca na lunch i odpoczynek. Co ciekawe, zarówno w Bejrucie, jak i w całym Libanie, co mogliśmy zaobserwować w kolejnych dniach, jest bardzo mało punktów gastronomicznych. Rzec można nawet, że w kraju śródziemnomorskim i do tego arabskim usilnie poszukiwanie miejsca, gdzie można zjeść jakikolwiek posiłek, jest mocno nietypowe i – co tu mówić – irytujące. Tymczasem przemierzamy Dzielnicę Centralną, której zabudowa staje się tym bardziej nowoczesna, im bliżej podchodzimy do brzegu morza. Mijamy salony samochodowe takich marek jak Aston Martin, Maserati, Bugatti, mieszczące się w kolejnych pięknych wieżowcach obsadzonych palmami. Szkło, marmury, garnitury. Robi się bogato. Mocno już zmęczeni i głodni wchodzimy do ogródka dużej restauracji, którą udało się wreszcie wypatrzyć w tym rejonie. O cenach nie mamy na razie siły



W tle koronkowa architektura bejruckiego suku.

Wnętrze katedry Greckiego Kościoła Ortodoksyjnego pw. św. Jerzego.



myśleć. Skierowane do nas pytanie, czy posiadamy rezerwację, wydaje się mocno na wyrost w niemal pustym lokalu. Zamawiamy napoje i *mezze* – przystawki. *Baba ghannuż*, czyli pasta z opiekanego bakłażana, *ful* – gotowany bób i oczywiście popularny już i u nas *hummus*. Pusta dotąd restauracja szybko zapełnia się niemal do ostatniego miejsca eleganckim towarzystwem. Żartujemy, że wskazaliśmy miejscowym słuszną drogę, ale to przecież pora lunchu. Panowie w garniturach, nowoczesne, wydekoltowane panie na wysokich obcasach, z dostrzegalnymi naddatkami z kwasu hialuronowego i silikonu. Na stole pojawiają się bardzo ładne talerze z motywami arabskiej kaligrafii oraz niezamawiane przez nas drobne przekąski. Jak później mogliśmy się przekonać, do każdego zamawianego posiłku dostawaliśmy wszędzie po kilka mniejszych lub większych dodatków *on the house* – na koszt firmy. Wkrótce na stół wjeżdżają pozostałe specjały. Smak zamówionych przekąsek jest wyśmienity, ale *hummus*... mistrzostwo świata! Nie jadłem takiego wcześniej, nie jadłem takiego potem.

Pokrzepieni na ciele wracamy szlakiem mijanych wcześniej meczetów. Te, które poprzednio były niedostępne z powodu modłów, teraz są zamknięte. Na szczęście ten największy, Muhammada Amina, zgodnie z wcześniejszą obietnicą stoi przed nami otworem. Zdejmujemy buty, panie wkładają czarne narzutki, zakrywają głowy szalami i jesteśmy w ogromnym wnętrzu. Pięknie zdobione złotem kopuły, koraniczne cytaty i wyjątkowo zdobny żyrandol

najlepiej podziwiać, siedząc na wyścielonej miękkimi dywanami podłodze. Obok wejścia, dzięki wsparciu elektroniki, wyświetlane są dokładne godziny poszczególnych modlitw danego dnia, a także podstawowe wiadomości o islamie. Ogromne wnętrze robi niezwykle wrażenie. Wzniosłej, kontemplacyjnej atmosfery nie mać świadomość, że ta wspaniała budowla, nawiązująca stylem, kształtem i wielkością do Błękitnego Meczetu w Stambule, nie jest zabytkiem. Wzniesiono ją wprawdzie w 1429 roku, ale ery muzułmańskiej, czyli Anno Domini 2009.

### Jazda bez trzymanki

Kolejny punkt obowiązkowego programu zwiedzania Bejrutu to powielane na wielu fotografiach Gołębie Skały. Na bardzo ruchliwej ulicy, przy której stoi meczet Muhammada Amina, wystarczy skinienie ręki na stareńkiego czerwonego mercedesa, który wcześniej zaznaczył – oczywiście klaksonem – swą chęć zaoferowania nam usługi transportowej. Trąbią do nas również kierowcy innych taksówek, ale sentyment Małgosi i Mariusza do oldtimerów bierze górę. Jak wszędzie na Wschodzie, cenę lepiej ustalić przed rozpoczęciem jazdy. Kierowca, też stareńki, wysuszony i dobrze komponujący się ze swym pojazdem, na pytanie o cenę do Gołębih Skał, odpowiada: „Dziesięć”. Jako że dolar amerykański jest wszędzie w Libanie akceptowany, a płacenie nim powszechne, nie bardzo wiemy czy mowa o 10 dolarach, czy o 10 tysiącach funtów libańskich (ca. 6,60 USD). Cała rzecz odbywa się jednak na lewym pasie trzypasmowej, zatłoczonej drogi i nasze zgromadzenie już spowodowało zator trąbiących kierowców. Nie uzyskawszy więc odpowiedzi na pytanie o walutę, wskakujemy do steranej życiem czerwonej strzały. Nasz dziadek ma na kolanach rozłożone różne wiktuały i czerpiąc z nich obiema rękami, rozpoczyna niezapomnianą jazdę przez miasto. Kilukrotnie próbuję upewnić się, czy dobrze zrozumiał cel naszej podróży. Powtarzam wiele razy nazwę Pigeons' Rock, taksówkarz kiwa głową, ale widzę, że przekaz doń nie dociera. Próbuję po arabsku, choć nie wiem, czy ta nazwa tłumaczy się dosłownie. Efekt podobny. Jedziemy jednak na zachód, czyli mniej więcej w dobrym kierunku. Cały czas przebijamy się przez miejskie korki, a adrenalina co i rusz skacze nam do maksymalnego poziomu przy kolejnych sytuacjach prowadzących do nieuniknionej, zda się, kolizji. Konsumpcja zadowolonego z siebie kierowcy trwa nadal. Po skończonym posiłku nasz dzia-

Lunch w eleganckiej dzielnicy. Pośrodku stołu wyśmienity *hummus*.



dek długo gmera w kieszeni, coś wyjmuję i... instaluje sobie w uchu aparat słuchowy. „To dokąd chcecie jechać?” – zda się mówić rozpromieniony. Że cena wymieniona na początku nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, jest już oczywiste. A więc od nowa: Gołębie Skały, po angielsku, po francusku, po arabsku... Nic. Podsuwam mapę, pokazując miejsce i nazwę, ale kto ze starego pokolenia na Bliskim Wschodzie zna się na mapie. Poza tym, jaka gwarancja, że dziadek cokolwiek widzi. Sądząc po stylu jazdy – mała. Niemniej z pokazywania mapy wynika jakaś korzyść. Dziadek zatrzymuje bowiem pojazd i prosi starszego przechodnia o pomoc w porozumieniu się. Nie bardzo przynosi to efekt, szczególnie, że tamten okazuje się Syryjczykiem, ale zaraz znajduje się inny, usłużny młody człowiek (tu ludzie są uprzejmi), który – niezrozumiale z kolei dla mnie – coś tłumaczy naszemu kierowcy. Ruszamy. Nie bardzo jesteśmy pewni, czy już wiadomo, gdzie jedziemy, ale jedziemy. Znow na milimetry z innymi, znow adrenalina, ale korki ogromne, prędkość niewielka, więc jest szansa na przeżycie. Nasz dziadek trąbi na wszystkich i bez przerwy, ale z szerokim uśmiechem na twarzy, bez cienia złości czy zniecierpliwienia. Mamrocząc przy tym ciągle sekwencję kilku jakichś angielskich słów, zapewne zapamiętanych wiele dziesiątków lat temu. Trąbi nawet na stojących na czerwonym świetle poprzedzających go kierowców, domagając się, aby ruszyli, co powoduje irytację tych ostatnich – notabene były to jedyne oznaki zniecierpliwienia, jakie zauważyliśmy u kogokolwiek przez cały okres pobytu. Udaje nam się nawiązać rozmowę. W krótkiej wymianie zdań dowiadujemy się, że mercedes, którym jedziemy, ma 47 lat. Nic więc dziwnego, że spięty jest w poprzek kabiny metalowymi sztabami. Bez nich wehikuł zapewne rozpadłby się na boki. W końcu dziadek wykrzykuje z satysfakcją *Raouché*. Okazuje się, że tak nazywa się dzielnica, do której zmierzaliśmy. Jeszcze tylko dyskusja o cenie. Miało być dziesięć, taksówkarz chce dwadzieścia pięć, ale na szczęście tysięcy funtów libańskich, czyli ok. 60 zł. Za taką przygodę i to z happy endem! Nawet się nie targowaliśmy.

Z wysokiej skarpy podziwiamy dwie majestatyczne formacje skalne wystające z wód Morza Śródziemnego. To właśnie Gołębie Skały. Turystów nie widać, ale wiele tu mówiących po arabsku par, robiących pamiątkowe zdjęcia. Słońce daje się mocno we znaki, więc idziemy usiąść w cieniu na tarasie pobliskiej restauracji. Herbatka, arabska kawa po turecku, woda,



i już jest nam lepiej. Z tarasu rozciąga się widok zarówno na morze, jak i na skały oraz na położoną na wzgórzach nowoczesną dzielnicę *Raouché*. Po dłuższym odpoczynku ruszamy na piechotę do hotelu. Uliczki pną się w górę i tak kręcą, że szybko tracimy orientację, ale z pomocą nieocenionej nawigacji Mariusza docieramy wreszcie zmęczeni do naszych pokoi.

### Herbatka u sułtana

Słońce w październiku zachodzi około osiemnastej. Gdy nieco odświeżeni wychodzimy z hotelu na spacer, jest już ciemno. Trudy nocnej podróży i aktywnie spędzonego dnia dają się we znaki, nie zapuszczamy się więc zbyt daleko, choć elegancka ulica *al-Hamra* kusi nietypową mnogością sklepów, barów i restauracji. Wkrótce lądujemy na kolacji u sułtana, w jego domu. Upatrzona wcześniej nieopodal hotelu restauracja z dużym ogródkiem nosi nazwę *Dar as-Sultani*. Niespiesznie upływa nam obfity i bardzo smaczny posiłek dopełniony mnóstwem dodatkowych przekąsek. Delikatny wietrzyk w ciepły bejrucki wieczór wzmacnia poczucie komfortu termicznego i błogiej sytości. Na koniec zamawiamy zaproponowany przez obsługę *czaj baghdadi* – herbatę po bagdadzku. Z sentymentu do dawnych czasów nie mogliśmy się oprzeć, wszak troje z naszej czwórki spędziło niegdyś po kilka lat między Eufratem a Tygrysem. W Iraku herbatka jest obecna zawsze i wszędzie. Obowiązkowa na koniec każdego posiłku, wszechobecna na ulicach, bazarach, o herbaciarniach nie wspominając, niezbędna przy rytuale powitania gościa.

Gołębie Skały zwane przez miejscowych *Raouché*.

Meczet Muhammada Amina sklepiają pięknie zdobione kopuły ze złotymi ornamentami.





Kia picanto.  
Nasz dzielny przyjaciel  
w podróży.

Pije się ją w dużych ilościach i o każdej porze dnia – przystając co krok na ulicy, przysiadając w parku, w urzędzie, w sklepie... Malutkie, sporo mniejsze od tureckich, szklaneczki z bardzo mocną i potwornie słodką herbatą (proporcja 1/3 cukru na 2/3 płynu jest normą) służą do gaszenia pragnienia w największe upały. Taka herbatka to nieodzowny i niemal darmowy element życia w Iraku. Ta zaserwowana nam w bejruckiej restauracji nie trafiła dokładnie w zapamiętany smak, choć to zrozumiałe, pewne rzeczy idealizujemy we wspomnieniach. Nie to było jednak przyczyną naszego zdziwienia. Szklaneczka bagdadzkiej herbatki podawanej w „Domu Sułtana” okazała się mieć cenę niemal równą daniu obiadowemu. No cóż, za sentymenty trzeba płacić.

Wieczór kończymy szklaneczką czegoś mocniejszego, dzieląc się wrażeniami w hotelowych pokojach. Omawiamy trasę na dzień następny, bo w wypożyczalni powinien na nas czekać zamówiony samochód.

### Pikantna terenówka

Nazajutrz wstajemy wcześnie i po śniadaniu łapiemy taksówkę. Precyzyjniej trzeba by powiedzieć, że to taksówka łapie nas. Gdy tylko pojawia się przed hotelem, mamy dwie oferty przewozu. Pierwszą – od kierowcy zaparkowanej taksówki, drugą – od kierowcy auta bez oznaczeń. Wybieramy oczywiście taksówkarza, ale on „oddaje nas” temu drugiemu. Chcemy do centrum, gdzie u agenta firmy Avis mamy zamówioną dacie sandero. Oddajemy

Do jaskiń Jeita wjeżdżamy  
kolejką linową.



kierowcy kartkę z adresem i ruszamy. Daleko nie jest, raptem ze 3 km, ale bliżej celu okazuje się, że nasz drajwer nie wie, jak trafić w to konkretne miejsce. Na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że adresem jest jedynie nazwa konkretnego budynku w danym kwartale miasta. Pokazuje więc kartkę napotkanemu przechodniowi około czterdziestki, a ten, nieco zażenowany, odpowiada, że nie umie czytać. Próbuje dalej. Zatrzymujemy się przy aptece. Na wszelki wypadek wchodzę wraz z kierowcą do środka. Na pytanie o lokalizację tego konkretnego budynku, właściciel w starszym wieku tłumaczy cierpliwie naszemu kierowcy, a potem woła z zaplecza pracownika i każe mu wyjść z nami przed budynek, aby dokładnie wskazał drogę. Tu ludzie są uprzejmi. Tym razem trafiamy bezbłędnie.

Procedura uzyskania auta trwa około pół godziny. Wstępne wyliczenie przy zamówieniu w internecie wykazywało, że za 3 dni wynajmu zapłacimy 120 USD. Na miejscu dokupiliśmy jednak kilka opcji – dodatkowy, czwarty dzień, dopłatę za drugiego kierowcę, ubezpieczenie antykradzieżowe, AC w razie kolizji, zwrot samochodu nie w miejscu odbioru, a na lotnisku. Ostatecznie zrobiło się 270 dolarów. W ofercie mieliśmy dacie sandero lub równorzędne auto terenowe. Na miejscu okazuje się, że jest tylko kia picanto – malutkie auto kompaktowe. Cóż robić, „wybieramy”, co jest. Samochód dużo mniejszy, ze słabszym silnikiem, a przed nami górskie trasy. Zaletą jest automatyczna skrzynia biegów. Oględziny, protokół odbioru i pakujemy się do pachnącego, błyszczącego maluszka. W drogę!

W sobotę ruch w mieście nieco mniejszy, ale i tak ciasno i tłoczno. Trzeba zdobywać pewnie przestrzeń dla siebie, mając oczy dookoła głowy. Oczywiście klakson to podstawa bezpieczeństwa. Nie należy go nadużywać, ale to nie znaczy, że nie należy go używać niemal bez przerwy, bo pierwszeństwo, jak sama nazwa wskazuje, ma ten, kto pierwszy wciśnie nos swego auta i zasygnalizuje swoją obecność. Przydają się dziesiątki tysięcy kilometrów za kierownicą w Iraku, choć tam, trzydzieści lat temu, natężenie ruchu było mniejsze. Mariusz pochylony nad nawigacją, dzielnie wskazuje kolejne zakręty, rozjazdy i skręty. Wkrótce okazuje się, że na wielopasmowych drogach szybkiego ruchu, zarówno w mieście, jak i tej, która ciągnie się wzdłuż całego wybrzeża Libanu, najbezpieczniej jest jechać lewym pasem z prędkością 120 km/h. Mało kto nas wtedy wyprzedza, a wysoki betonowy krawężnik, oddzielający kie-

runki ruchu, przynajmniej z lewej strony zabezpiecza przed potencjalnym zagrożeniem.

## Łódka w jaskini

Zmierzamy do jaskiń Jeita położonych niedaleko Bejrutu. Przed nami 25 km, w tym 10 wąska droga w górę. Trafiamy na ogromny, niemal pusty parking. Przy kasie też tylko kilka osób, choć słalom, jaki wyznaczają metalowe barierki, sugeruje, że bywa tu tłoczno. Bilety do Jeita Grotto, w cenie ok. 45 zł/osobę, pozwalają na wstęp do kompleksu dwóch jaskiń. Krótka, ale malowniczą trasę w górę pokonujemy kolejką linową. W jaskini obowiązuje całkowity zakaz fotografowania – przed wejściem należy oddać smartfony do depozytu. Szkoda, bo widoki wewnątrz są spektakularne. Turystom udostępniono 700-metrową trasę pieszą w ponad dwukilometrowej, dyskretnie i bardzo gęsto podświetlonej jaskini. Stalaktyty, stalagmity, stalagnaty. Wyrzeźbione wodą sklepienie mamy kilkadziesiąt metrów nad głowami. Finezyjne kształty wapiennych grzybów, filarów, drzew, kurtyn. Największy stalaktyt zwisa na długość ponad ośmiu metrów i wiezie prym wśród podobnych formacji w skali światowej. Jest bardzo spokojnie, majestatycznie i nastrojowo, również z powodu niewielkiej liczby turystów. Idziemy wolno w półmroku, zachwycając się kolejnymi cudami przyrody nad nami, obok, a także głęboko poniżej poziomu wytyczonej trasy. Wrażenia niezapomniane.

Z górnej grotty w dół wiezie nas elektryczny pojazd. Znowo depozyt aparatów i telefonów. W dolnej jaskini czekają na nas elektrycznie napędzane łódki. Bezszelestnie wypływamy na bajecznie podświetlone podziemne ni to jezioro, ni rzekę. Trasa turystyczna ma około pół kilometra, ale cała dolna jaskinia rozciąga się na długości niemal ośmiu kilometrów. Mijamy ciekawie ukształtowane stalaktyty i stalagmity. Jeden z tych ostatnich, opasy, nieco pochylony, do złudzenia przypomina wieżę w Pizie. Mimo kilku łódek na wodzie jest cicho i kontemplacyjnie. Od czasu do czasu słyszymy lub czujemy spadające z góry krople. Turkus wody pięknie odbija rzeźbę finezyjnych kształtów ścian i sklepienia. Magia tego miejsca dostarcza subtelną doznania estetycznych i nastroja pozytywną energią. Wracamy. Z łódki schodzimy z uczuciem niedosytu.

## Harisa – maluchem po górach

Następna w naszym planie jest miejscowość Harisa, znana z silnego kultu maryjnego, miejsce licznie odwiedzane przez pielgrzymów



Panorama wybrzeża libańskiego u podnóża góry Harisa.

i wycieczki. Turyści zwykle docierają do sanktuarium, wjeżdżając na górę Harisa kolejką linową z położonej nad morzem miejscowości Dżunija. Różnica wysokości wynosi sześćset dwadzieścia metrów.

My ruszamy spod grot Jeita i aby nie zjeżdżać na wybrzeże trasą, którą już znamy, wybieramy kierunek na północ, przez góry. Przed nami tylko kilkanaście kilometrów, ale droga wiję się stromymi podjazdami, przechodząc przez osiedla o kaskadowej zabudowie. Pniemy się coraz wyżej wąziutkim asfaltem. Zakręty takie, że drogę przed autem należy obserwować nie w przedniej, a w bocznej szybie. Zaczynamy dziękować Avisowi, że miał dla nas tylko mały samochód. Nasze picanto dzielnie sobie radzi na bardzo stromych i przede wszystkim wąziutkich podjazdach. Silnik na wysokich obrotach wyje, ale często zmieniając przełożenia, ciągnie pod strome wzniesienia. Mały samochodzik dociążony naszą czwórką daje radę. Podziwiamy piękne widoki.

Zdobywszy jedną górę, widzimy jakąś wielką złotą budowlę sakralną na szczycie następnej. Między nami dolina, a więc jeszcze tylko ze sto zakrętów zjazdu, drugie tyle podjazdu i stajemy przy ogromnym kościele w stylu bizantyjskim. Trochę zdezorientowani, bo przecież miało tu być sanktuarium maryjne. Zostawiamy auto przy kościele i rozpoczynamy spacer. Z prawej strony, między drzewami kilkaset metrów dalej widać wagoniki kolejki linowej, a więc jesteśmy na szczycie góry Harisa, choć w pewnym oddaleniu od głównego celu wycieczek. U naszych stóp rozciąga się przepiękna, rozległa panorama wybrzeża libańskiego. Skarpa nie jest zabezpieczona barierkami, podchodzimy do jej skrajów gęsto zarośniętego płataniną traw i płoczących





W polichromiach melchickiej bazyliki w Harisie dominuje kolor złoty.

się krzaków. Zachwycamy się widokiem na dalekie morze i miejscowość Dżunija poniżej. Oczywiście sesja zdjęciowa. Mariusz robi o jeden krok za dużo i... mało brakowało, a poniżej 600-metrowa przepaść.

Pora na zwiedzanie kościoła, przy którym zaparkowaliśmy. W przestronnym wnętrzu jesteśmy praktycznie sami. Ściany i kopuły zdobią ogromne malowidła ze scenami biblijnymi. Dominuje złoto i czerwień. Napisy po arabsku i po grecku. Jesteśmy w bazylice św. Pawła należącej do Greckiego Melchickiego Kościoła Katolickiego.

Chwilę potem podjeżdżamy do sanktuarium Matki Bożej Pani Libanu z 8,5-metrowym, piętnastotonowym posągim ustawionym na spiralnej podbudowie. Jest dosyć tłoczno, przez megafony nadawane są komunikaty zawierające głównie zalecenia, czego robić nie wolno. Architektura tego miejsca, należącego do patriarchatu maronickiego, nie zachwyca, niemniej mamy świadomość, że jest to odwiedzane przez papieży miejsce kultu maryjnego znane szeroko nie tylko w Libanie.

## Najstarsze miasto świata

Z Harisy zjeżdżamy do nadmorskiej autostrady dużo łagodniejszą drogą, z nielicznymi już tylko serpentynami. Kierujemy się na północ. Po 23 kilometrach docieramy do Byblos (arab. *Dżubajl*), jednego z najstarszych miast świata, zamieszkałego od czasów neolitycznych nieprzerwanie przez 8 tysięcy lat. Nazwa miasta

pochodzi od greckiego *byblos* oznaczającego papirus sprowadzany tu ze starożytnego Egiptu w zamian za cedr i wapień. Tu miało powstać pismo fenickie – podstawa współczesnych alfabetów. Zostawiamy auto w pobliżu portu i wchodzimy w urocze kamienne uliczki pełne kwitnących oleandrów i bananowców. Zaglądamy do małego maronickiego kościółka w stylu romańskim. To katedra św. Jana Chrzciciela, której budowę rozpoczęli krzyżowcy w 1115 roku. Surowe wnętrze z jasnego kamienia z jednym tylko niewielkim obrazem świętym i prostym krzyżem przy ołtarzu. Trwa właśnie przyozdabianie ogromną ilością białych kwiatów. Dziś sobota. Zapewne szykuje się ślub. Nieopodal malownicza przystań z kolorowymi łodziami rybackimi, kamiennymi pirsami i strażnicą. Gdyby nie nowoczesne silniki zaburtowe, rzec by można, że czas tu nie płynie. Jest gorąco, słońce zamglone. Powoli idziemy w stronę twierdzy z czasów wypraw krzyżowych. Po drodze malutki ogródek z posągami Matki Boskiej i uformowanym z roślin krzyżem w kształcie kotwicy. Obok miniaturowa kamienna kapliczka z sześcioma małymi ławeczkami i obrazami świętych, w tym darzonego powszechnym kultem w Libanie XIX-wiecznego zakonnika, mistyka, uzdrowiciela i pustelnika, świętego Charbela.

Wspinamy się na mury zamku krzyżowców z XII wieku. Z najwyższej wieży rozciąga się panorama rozległego terenu wykopalisk z wyodrębnionymi stanowiskami z różnych okresów historycznych. Pozostałości domostw z neolitu; antyczna kolumnada wzniesiona w miejscu, gdzie stała świątynia Baalat Gubal, opiekunki miasta z III tysiąclecia p.n.e.; w części centralnej fundamenty świątyni z 2700 r. p.n.e. i wiele innych. Nic dziwnego, że zabytki Byblos wpisane są na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

## Pyszna kawa i pół-samochody

Wyczerpani zwiedzaniem kierujemy się przez niewielki suk w kierunku samochodu. Po drodze siadamy w bistro na szybką przekąskę, na którą dosyć długo trzeba czekać. Słońce stoi jeszcze wysoko, postanawiamy zatem zaliczyć Trypolis, drugie co do wielkości miasto Libanu, zamieszkałe w 80 procentach przez sunnickich muzułmanów. Przed nami 50 km drogą szybkiego ruchu na północ. Trypolis leży tylko 30 km od granicy z Syrią. Przed miastem wojskowe *checkpointy*. Ruch jest spowolniony, ale żołnierze nikogo nie zatrzymują. Nieznaczne skinienie głową pozwala jechać dalej. W mie-

Malutka kapliczka w Byblos z wizerunkiem św. Charbela.



ście parkujemy auto w starej dzielnicy w centrum, odnotowujemy miejsce, aby nie pobrazić, wracając, i ruszamy na spacer bez określonego celu. Trypolis, określane jako najbardziej typowe arabskie miasto w Libanie, zasługuje na to miano. Wąskie, niezbyt czyste uliczki, płatanina setek przewodów nad głowami, większość kobiet w czarnych *abajach*, mnóstwo zdezelowanych, rozpadających się samochodów i skuterów. Całkowity brak turystów. Jednym słowem swojski klimat i miejscowy folklor. Przechodzimy przez sukwarzynny, gdzie dzień pracy powoli dobiega końca. Zamykają się też okoliczne sklepy. Mimo, że czujemy się troszkę nie z tej bajki, nikt nie zwraca na nas większej uwagi. W miękkim świetle opuszczającego się słońca wydłużają się cienie. Dzień był gorący. Docieramy na niewielki miejski plac z rozstawionymi kilkunastoma stolikami. W budynku są dwie *czajchany*. Siadamy i zamawiamy kawę. Stoliki powoli się zapełniają. Mężczyznami. Przychoǳą po pracy na herbatę, porozmawiać, pograć w karty. Widać, że czas tutaj zwalnia. Nasza obecność budzi tylko lekkie zainteresowanie. Kawa jest mocna, pyszna i najtańsza, jaką przyszło nam pić w Libanie.

Trzeba ruszać w drogę powrotną. Zmierzamy do samochodu innymi uliczkami. Mijamy dziesiątki warsztatów naprawiających samochody i skutery. Komunikacja, zarówno miejska, jak i międzymiastowa, jest w Libanie słabo rozwinięta, dlatego wszelkie środki transportu są pożądane. Warsztaty naprawcze i takie, w których auta składane są z elementów, są wszechobecne. Po drodze widzimy poprzeczne i podłużne połówki i ćwiartki samochodów różnych marek gotowe do montażu. Zapewne czekają tylko na zamówienie.

Wracamy. Jednak o tej porze nie tylko my próbujemy wyjechać z centrum starego Trypolisu. Szalony przedwieczorny ruch miejski po skończonej pracy. Jedzie się trudno i wolno. Sforsowanie każdego ronda z dziesiątkami samochodów cisnącymi się zewsząd wymaga wyłączenia wyobraźni i zdecydowanego działania, bez tego nie dałoby się jechać. Na dodatek, gdy już uciekliśmy z największego kotła, przed nami remont dwupasmowej drogi. Próba objazdu niechybnie skieruje nas ponownie w największy korek. Szybka decyzja – zjeżdżamy na przeciwny kierunek i jedziemy ich lewym pasem. Pod prąd. Nikt nie mruga światłami, nie trąbi, wszak klakson nie do tego służy. Skoro jedzie pod prąd, znaczy musi. Tu ludzie są wyrozumiali.

## Obżarstwo zamiast kąpeli

Zapadła noc. Do Bejrutu mamy 80 km. Jedziemy, zgodnie z libańską zasadą bezpieczeństwa, szybko lewym pasem. Po drodze odbijamy do miejscowości Dżunija, którą podziwialiśmy przed południem ze szczytu Harisy. Mają tu być ładne hotele i plaże. Może uda się wykapać w morzu przy blasku księżyca. Samochód zostawiamy na parkingu obok sklepu z napisem *Russkij Market*. Niestety, dostępnej plaży nie udaje się znaleźć. Na osłodę kupujemy libańskie łakocie w rosyjskim markecie.

Wracamy do Bejrutu drogą nadmorską, rezygnując z autostrady. Tak można więcej zobaczyć. Przy okazji rozglądamy się za jakimś miejscem na posiłek. Łatwo nie jest, ale w końcu na przedmieściach stolicy dostrzegamy samotny niewielki bar w opustoszałej, zda się, dzielnicy. Wysokie budynki wokół mają wygaszone światła. Właściciel jest bardzo miły. W jadłospisie nie tylko orientalnie. Małgosia z Mariuszem idą w sałatkę z tuńczyka i rybę z frytkami, my – w zachwalany przez szefa szaszłyk z brazylijskiej wołowiny. Po dłuższym oczekiwaniu na stół wjeżdżają dania, przekąski, zakąski. Tradycyjnie, większość z nich *on the house*. Uczta trwa długo i jest nie do przedzenia. Zanim zaczniemy toczyć się do samochodu, właściciel, prowadzący lokal z bratem, długo opowiada nam, jakie zmiany w jadłospisie planują. Przynosi nawet projekt graficzny nowego menu i szczegółowo opisuje kolejne pozycje. Obiecujemy, że przy następnym wizycie w Libanie na pewno wpadniemy. Oby udało się dotrzymać tego zobowiązania.

Powoli kończy się nasz pierwszy „samochodowy” dzień. Jeszcze tylko trzeba przedrzeć się przez zatłoczoną *al-Hamrę* i niedaleko hotelu zostawiamy auto na płatnym parkingu. Niby mamy ubezpieczenie antykradzieżowe, ale lepiej unikać kłopotów. Koszt parkingu: ok. dwadzieścia pięć zł.

W hotelu, przy szklaneczce, wieczorne obrady nad dniem następnym. Ważnym dniem.

## Niebezpieczne wybory

Niedziela 13 października 2019 r. Na ten dzień wyznaczono wybory do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. Nie mogliśmy ich opuścić. Zawczasu pobraliśmy w naszych warszawskich urzędach zaświadczenia o uprawnieniu do głosowania i tak uzbrojeni wyruszamy o poranku do ambasady. Co ciekawe, położona jest ona, podobnie jak kilka innych placówek, daleko poza miastem na południowych, górzystych przedmie-



Pyszna kawa w libańskim Trypolisie dostępna jest również u obwoźnych sprzedawców.



W podcieniach pałacu druzyjskiego emira w Deir al-Qamar można kupić kolorowe miseczki.

Proste wnętrze maronickiego kościoła wzniesionego na miejscu pogańskiej świątyni czcicieli Księżyca.



ściach Bejrutu, przed którymi przestrzega komunikat na stronach MSZ. W niedzielny poranek ruch na ulicach i przedmieściach jest nieco mniejszy. Wprawdzie mamy kupioną jeszcze w Polsce mapę z dużym planem miasta, ale bez nawigacji, wgranej na stałe w telefon Mariusza, na pewno byśmy nie trafili, szczególnie, że ten region jest już poza planem. Przed ambasadą, mimo naszych obaw, nie ma kolejki, co nie bardzo dziwi, biorąc pod uwagę, jak niełatwo tu się dostać. Spełnianie obywatelskiego obowiązku przebiega sprawnie. Przy okazji pytamy, czy bezpiecznie jest jechać na południe, do położonego o 25 km od granicy z Izraelem Tyru. „Tak, nie ma problemu. Wszędzie jest bezpiecznie. Tylko nie jedźcie do Trypolisu, bo tam jest bardzo niebezpiecznie” – pada odpowiedź. Uff! Myśmy tego nie odczuli, ale skoro tak mówią...

## Czciciele Księżyca

Z Baabdy, gdzie mieści się ambasada, jedziemy malowniczą górską drogą do miasteczka o intrygującej nazwie Deir al-Qamar (z arab. Księżycowy Klasztor). Jest to w zasadzie wioska z typowo górską, kaskadową zabudową z jasnego kamienia i czerwonymi dachami. Sporo turystów. W centralnej części pałac druzyjskiego emira Fachr ad-Dina Drugiego, który w XVII w. stanął na czele nieformalnego Emiratu Gór Libanu dążącego do autonomii od władz osmańskich. Przed pałacem – bardzo ciekawy, malutki meczet z surowego kamienia z ośmiokątnym minaretem. Rówieśnik Kolumba, pierwotnie wzniesiono go bowiem w 1493 r., nosi nazwę emira Fachr ad-Dina Pierwszego, który odbudował go w XVI wieku, jest najstarszym meczetem na terenie obejmującym późniejszy Emirat Gór Libanu. W podcieniach pałacu przycupnął mały sklepik pamiątkarski, a we wnętrzu – muzeum z gabinetem figur woskowych, które oczywiście obchodzimy szerokim łukiem. Zamawiamy naleśniki, lody i przysiadamy przy stoliku na placu. Okazuje się, że akurat ten stolik należy do pani parzającej w małej dziupli gorące napoje. Zamawiamy zatem kawę. Wkrótce staje przed nami słusznych rozmiarów tygiel, z którego wychodzi po 4 duże szklaneczki na głowę. Rozsądek podpowiada, że część pysznego smolistego napoju, z obawy przed tachykardią, musimy zostawić.

Główną uwagę turystów zwracają pałac i meczet emirów. My, nieco przypadkiem, trafiamy przed położony na tyłach głównej ulicy sporych rozmiarów romański kościół. Tablica informacyjna głosi, że jest to maronicki dom

modlitwy Matki Bożej ze Wzgórza. Co ciekawe, został on wybudowany na miejscu pogańskiej świątyni, gdzie niegdyś oddawano hołd Księżycowi. Mamy zatem wyjaśnienie zagadkowej nazwy miasteczka.

Legenda głosi, że w XV wieku druzyjski emir z nieodległego Baaklin dojrzał światło wydobywające się ze wzgórza Deir al-Qamar. Wysłał tam swych żołnierzy, rozkazując: „Jeśli znajdziecie tam symbol islamu, zbudujcie meczet, jeśli chrześcijaństwa – zbudujcie kościół.” Żołnierze rozkopali górę i znaleźli kamień ze znakami krzyża oraz Księżyca i Wenus. Legenda ta nie tylko odnosi się do źródła nazwy tego miejsca, ale w subtelny sposób wskazuje na pryncypia wyznania druzyjskiego, które jest odłamem islamu ze znacznymi wpływami chrześcijaństwa.

Kościół, jak większość budowli w całej okolicy, wzniesiono z jasnego kamienia. Wejście ma formę kruchty z krążankowymi łukami. Wnętrze jest surowe, choć wysokie i jasne, z pojedynczym obrazem i niewielkim, skromnym krzyżem. Znów jesteśmy sami. Nie ma wiernych, nie ma turystów. Rozstawione w absydzie bukiety świeżych białych kwiatów nie świadczą bynajmniej o braku troski o to miejsce. Na dłuższą chwilę ulegamy panującej tu atmosferze skupienia, zadumy, refleksji.

## Sydon – atak na twierdzę

Kolejny na naszej trasie na południe Libanu jest historyczny Sydon (arab. *Sajda*) oddalony o 40 km od Księżycowego Klasztoru. Zamieszany od czasów neolitycznych, wspominany na kartach Starego Testamentu, swą nazwę miał wziąć od imienia wnuka biblijnego Noego. Odwiedzali go Herod Wielki, Jezus i apostoł Paweł. W czasach przedchrześcijańskich podbijali go Asyryjczycy, Babilończycy, Egipcjanie, Persowie, Grecy, Rzymianie... W świetle tak odległej historii nasz główny cel wydaje się być „młodzieniaszkiem”. Zmierzamy do fortecy krzyżowców z XIII wieku. Nietypowej, bo wzniesiono ją w miejscu starej fenickiej świątyni na skale w morzu. Strzegła niegdyś miasta i pobliskiego portu przed atakami z wody. My, dzięki wiodącej do wrót 80-metrowej grobli, atakujemy twierdzę z lądu. Przechadzamy się wśród murów w piękny słoneczny dzień. Wiatr od morza łagodzi nieco upał. Z wysokiej baszty rozciąga się widok na nieodległą wysepkę turystyczną az-Zira z nieczynną latarnią morską, pobliski port oraz miasto. Przed nami szeroka panorama z nowoczesną zabudową sąsiadującą z tą tradycyjną. Mimo morskiej bryzy-

słońce daje się we znaki, opuszczamy więc twierdzą i szukamy zacienionych miejsc, przechadzając się na pobliskim tradycyjnym suku położonym po przeciwnej stronie ruchliwego bulwaru nadmorskiego.

## Tyr – nekropolia i krwawy posilek

Z Sydonu jest tylko 35 km do Tyru. Jeszcze w Polsce, gdy planowaliśmy trasy zwiedzania, nie byliśmy pewni, czy ze względów bezpieczeństwa uda nam się tam pojechać. Nasze obawy spowodowane były niedawnymi incydentami przy pobliskiej granicy z Izraelem. Na szczęście rozmowa w ambasadzie pozwoliła nam podjąć jedyną słuszną decyzję. Jedziemy. Po drodze mijamy ciągnące się kilometrami plantacje – głównie banany, ale również daktyle, cytrusy, oliwki. Ten rejon to zagłębie owocowe Libanu.

Do miasta wjeżdżamy nadmorską promenadą, która wiedzie do starego portu. Toczmy się wolno przez wąskie uliczki z kolorowymi domami, by wkrótce wyjechać na reprezentacyjny bulwar. Z jednej strony wysoka, nowoczesna zabudowa, z drugiej – deptak wysadzany ozdobnymi palmami, a przede wszystkim szeroka, piaszczysta miejska plaża. Tego nam było trzeba! Jest niedzielne popołudnie. Tłumy wyległy nad morze. Samochody zaparkowane zderzak w zderzak. Udaje nam się jednak znaleźć niewielką przerwę w sznurze aut. Wciskamy w nią naszego malucha, i znów ślemy ciepłe myśli w stronę Avisy, który nie miał dla nas terenówki. Z lubością taplamy się w morzu. Woda jest boska. Ciepła, choć mocno słona.

Nie możemy jednak spędzić całego popołudnia na kąpielach. Tyr, choć słynie z ładnych plaż, nie z ich powodu został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Pierwotnie jedno z głównych miast należących do Fenicjan, największych żeglarzy i kupców starożytności, ma niezwykle burzliwe dzieje. Według Herodota miasto założono w 2750 roku p.n.e. Przewalały się tu armie kolejnych ludów i dynastii. Jedni budowali, inni rujnowali. Znów: Egipcjanie, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Grecy, Rzymianie, Bizantyńczycy...

Ruszamy zatem na poszukiwanie śladów dawnej świetności. Zatrzymujemy się przy antycznej kolumnadzie, ale naszą uwagę przyciąga położony po drugiej stronie ulicy współczesny cmentarz muzułmański. Wchodzimy na rozległy teren. Rzuca się w oczy kilka nietypowych miejsc spoczynku z dużymi portretami zmarłych. Przeciskamy się wśród bardzo ciasno roz-

mieszczonych nagrobków z białego kamienia ku dobiegającym dźwiękom recytowanego Koranu. Okazały pomnik nagrobny, przykryty w całości szklaną płytą w intensywnie niebieskim kolorze, trochę szokuje. Utrwalona „in vitro” duża fotografia przedstawia zmarłego w 1987 roku ojca. Zdjęcie syna, który spoczął tu w zeszłym roku przeżywszy 47 lat, zainstalowano u wezłowania na metalowej, zamykanej na klucz konstrukcji w kształcie szafki. Dźwięk wydobywa się z głośnika okolonego wieńcem ze sztucznych kwiatów. Panel fotowoltaiczny daje zasilanie. I tu wkroczyła wysoka technologia.

Z cmentarza rozciąga się piękny widok na zatokę i odległą kolejną kolumnadę wiodącą wprost do morza. To Al-Mina (z arab.: port) – duże stanowisko archeologiczne z czasów grecko-rzymskich, które za chwil parę, gdy przejdziemy w jego pobliże, ukaże się nam w swej kilkusetmetrowej perspektywie. Nie zostajemy tu zbyt długo, bo słońce schyla się coraz niżej. Teraz naszym celem jest nekropolia Al-Bass, która wg rekomendacji zaprzyjaźnionej archeolożki śródziemnomorskiej z warszawskiego uniwersytetu jest miejscem nie do pominięcia w Tyrze.

Mozolnie, choć dzięki nawigacji Mariusza dość sprawnie, przedzieramy się przez intensywny ruch miejski i wkrótce wjeżdżamy na pusty niemal parking przy kasie biletowej. Kilka osób właśnie wychodzi. Na ogromnym terenie nekropolii z czasów rzymskich i bizantyńskich jesteśmy jedynymi zwiedzającymi. W antyku to właśnie tędy, przez kwartał umarłych, wiodło główne wejście do miasta. Idziemy długą, niknącą w oddali aleją wyłożoną kamieniem.



Nietypowy multimedialny nagrobek na muzułmańskim cmentarzu w Tyrze.



Do pozostałości twierdzy krzyżowców w Sydonie wiedzie kamienna grobla.



Nekropolia Al-Bass w Tyrze wraz z pobliskim hipodromem wpisana jest na listę dziedzictwa UNESCO.

Kilkadziesiąt metrów przed nami siedzi wielki pies. Najwyraźniej pilnuje duchów zmarłych. Trochę mamy pietra, czy nas przepuści. Gdy się zbliżamy, dostojnie usuwa się z drogi. Tu nawet psy są uprzejme.

Idziemy dalej, mijając po obu stronach dziesiątki, setki w większości dobrze zachowanych sarkofagów i ozdobnych kamieni. Datuje się je na II-VI w n.e. Zachowały się też pozostałości innego rodzaju budowli sepulkralnych – arkadowy grobowiec, kolumbarium, fontanna nagrobna. W połowie alei dochodzimy do monumentalnego łuku triumfalnego z II wieku n.e. pięknie prezentującego się w miękkich promieniach zachodzącego słońca. Stąd ciągnie się niska kolumnada dawnego akweduktu. Dalej pozostałości fenickich miejsc pochówków z IX w. p.n.e., gdzie prochy zmarłych składane były w urnach. Do nekropolii przylega rozległy teren dawnego hipodromu z II wieku n.e. o długości dwóch współczesnych boisk piłkarskich. W oddali, po obu stronach toru wyścigowego, po którym niegdyś pędziły rydwany, widać dobrze zachowane pozostałości schodkowej, kamiennego widowiska. Tam zasiadały wiwatujące tłumy.

To właśnie ten teren, nekropolia i sąsiadujący z nim hipodrom, był podstawą wpisu kompleksu zabytków Tyr na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Wkrótce zachód słońca. Odjeżdżamy z Al-Bass z uczuciem niedosytu. Rzeczywiście, nekropolia jest miejscem jedynym w swoim rodzaju, jakie trudno zobaczyć gdzie indziej. Chciałoby się spędzić tu dużo więcej czasu.

Udajemy się w drogę powrotną do Bejrutu, ale zanim wyjedziemy z Tyr, stajemy na stromej

uliczce w malutkim barze z dwoma stolikami i romantycznym widokiem na morze. Właściciel, przystojny młody Algierczyk, proponuje, zgodnie z nazwą niedawno otwartego lokalu – Hausa House – dania kuchni afrykańskiej. Zamówienia złożone. Owiewani przyjemną bryzą siedzimy przy ulicy, spoglądając na morze. Robi się ciemno. Właściciel krząta się wraz z dwoma pracownikami, uprzejmie do nas zagadując. Nagle, po włączeniu jakiegoś urządzenia w kuchni, w lokalu gaśnie światło – widocznie bezpieczniki nie wytrzymały. W kuchni jakieś zamieszanie. Zapala się światło. Po kilku minutach sytuacja powtarza się kolejny raz, a potem ponownie. Wreszcie na stół wjeżdżają nasze dania – grillowane kawałki wołowiny i kurczaka. Podaje je właściciel. Ma świeżo grubo zabandażowane trzy palce. Pytamy go, co się stało. Pokroił się. Chlebki przykrywające potrawę na talerzu Mariusza mają intensywnie czerwony kolor. Chyba od papryki...

Po pysznym, jak zwykle, posiłku, mocno przejeźdzeni, gramolimy się do auta. Do Bejrutu jest 80 km. Ostanie dwadzieścia przemierzamy się bardzo powoli. Mieszkańcy stolicy wracają po weekendzie do miasta.

### Pod rządami Partii Boga

Nazajutrz, po hotelowym śniadaniu i szybkiej, mocnej kawie na straganie przy parkingu, ruszamy w nowym kierunku. Tym razem na wschód. Dwa główne pasma górskie w tym kraju, góry Liban (najwyższy szczyt ponad trzy tysiące metrów n.p.m.) i Antyliban mają układ południkowy. Będąc w poprzednich dniach na północy i południu zahaczyliśmy jedynie o to pierwsze. Dziś wybieramy się do doliny Bekaa, która pod względem geologicznym stanowi rów tektoniczny pomiędzy oboma pasmami górskimi. Pod względem politycznym jest to region niespokojny. To tam, w Baalbeku, który jest naszym celem, ma swoją główną siedzibę szycicka Partia Boga. Hezbollah (arab. *hizb Allah*) jest organizacją powstałą niemal czterdzieści lat temu z inspiracji i przy wydatnym udziale władz Iranu, aktywną na polu działań antyizraelskich, ale też „antyimperialistycznych”, niezadko stosującą terrorizm jako środek osiągnięcia celów politycznych. Dolina Bekaa to region, przed którym polski MSZ ostrzegał przed rokiem w nadal dostępnym komunikacie dla wybierających się do Libanu.

Skoro jednak aktualnych ostrzeżeń nie ma, ruszamy na wschód forsować pasmo gór Liban. Droga, jak można się było spodziewać, pnie się

cały czas w górę. Jedzie się nawet niezłe, choć ruch intensywny, zarówno osobowy, jak i ciężarowy. Trzeba być bardzo uważnym na niekończących się serpentynach i ostrych zakrętach. Po osiągnięciu kolejnego znacznego wzniesienia przystajemy przy straganie z owocami, aby zakupić banany na drugie śniadanie. Poprzedniego dnia, gdy byliśmy na południu wśród plantacji bananowych, nie zdążyliśmy ich skosztować. Po przeciwnej stronie jezdni widać odchodzącą gruntową drogę wiodącą na skraj urwiska. Chcemy tam podejść. Łatwiej jednak pomyśleć, niż zrealizować. Stragan, przy którym stoimy, przycupnął na zakręcie kolejnej agrafki i widoczność w obie strony bardzo ograniczona, a ruch nieprzerwany. Czaimy się do skoku przez długą chwilę. W końcu się udaje. Dojeżdżamy kilkaset metrów do miejsca, z którego rozpościera się wspaniała panorama na niższe – zielone i zamieszkałe – oraz wyższe, nagie i żółte stoki gór. Słońce świeci, ale nie jest tak gorąco, jak w Bejrucie.

Ruszamy w dalszą drogę, żmudnie pokonując kolejne wzniesienia, podjazdy, zakręty. Czasem nawet udaje się wyprzedzać obciążone ciężarówkami, ledwie drapiące się pod górę, a wyjące na niskich biegach przy zjazdach. Na niektórych wzgórzach widać minarety meczetów, na innych wieże kościołów. W końcu po 70 kilometrach od wyjazdu z hotelu docieramy na dno rowu tektonicznego, który ukształtował się na wysokości około tysiąca metrów ponad poziomem morza. Dolina Bekaa ma 150 km długości, szerokość – około dziesięć. Już pierwsze kilometry pokazują, że trafiliśmy do nieco innego libańskiego świata niż ten poznany do tej pory. Mimo iż jesteśmy w żyznej dolinie, rzuca się w oczy mniejsza zamożność okolicy. Zabudowa raczej skromna. Kobiety prawie wyłącznie w *abajach*, mężczyźni często w *disz-daszach*. Na wszystkich latarniach wzdłuż drogi powiewają czarne chorągwie, pod nimi – religijne napisy. Dopełnieniem obrazu jest wszechobecny pył wzniesiany podmuchami wiatru spadowego schodzącego ze stoków gór.

## Pałace Umajjadów

Pierwszym naszym celem jest Andżar, położone po przeciwległej stronie doliny, u podnóża stoków Antylibanu. Nawet nawigacja w tym, zdać by się mogło, nieco złowrogim otoczeniu, traci głowę i wyprowadza nas na manowce. Zmierzamy do kompleksu miejskiego z czasów dynastii Umajjadów, który jest kolejnym libańskim zabytkiem wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO, a mimo to żadnych dro-

gowskazów nie widać. Czyżby miejscowym władzom nie zależało na przybyszach z zewnątrz, zostawiających w kasie zabytku pieniądze trafiające do Ministerstwa Turystyki w Bejrucie? Miałoby to być potwierdzenie tezy, że ten region pod władzą Hezbollahu jest mocno oderwany od władzy centralnej?

Nieco okreśną drogą docieramy wreszcie na miejsce. Andżar, miasto położone na przecięciu dwóch ważnych starożytnych i średniowiecznych szlaków handlowych wiodących z Bejrutu do Damaszku oraz z Homs do Tyberiady, zostało założone w początkach VIII wieku n.e. przez wybitnego umajjadzkiego kalifa Al-Walida I, za którego rządów wojska muzułmańskie podbiły m.in. Bucharę, Samarkandę, Ferganę i dotarły do Indii. Ruiny miasta pałacowego Umajjadów odkryto w 1948 r. Teren, wyraźnie inspirowany rzymskim budownictwem miejskim, ma długość niemal 400 metrów i szerokość ponad 300 metrów. Na tym rozległym obszarze znów jesteśmy sami. Turystów nie ma. Chodzimy wzdłuż dokładnie wytyczonych prostopadłych ulic, dzielących miasto na wiele równych kwartałów. Wyraźnie widać główne skrzyżowanie, nad którym góruje ogromny pylon z czterema kolumnami. W oddali, na wyniesieniu, ruiny pałacu zwanego wielkim. Są też pozostałości małego pałacu, meczetu, łaźni, a także sklepików, które ciągnęły się wzdłuż centralnej ulicy miasta. Co chwila kątem oka można dostrzec jakiś ruch. To wszechobecne tu jaszczurki, niemal nie do odróżnienia od tła, przyglądają nam się z historycznych kamieni.

Andżar w Dolinie Bekaa leżało na skrzyżowaniu ważnych średniowiecznych szlaków handlowych.



## Prawnuczka Mahometa

Z Andżaru ruszamy doliną Bekaa na północny-wschód do Baalbeku. Wzdłuż drogi ciągną się pola uprawne, ale mijamy także liczne obozy uchodźców zabezpieczone namiotami, wśród których krzątają się kobiety, bawią się dzieci, suszy się pranie. Teraz jest ciepło, ale jak tu się żyje zimą... Namioty wyglądają na wrosnięte w te ziemie od lat, a więc ich mieszkańcy to raczej dawni uchodźcy palestyńscy, a nie ci z ostatnich lat z Syrii, których do Libanu przybyć miało ponad milion. Na przydrożnych słupach sztandary i hasła religijne, a także portrety brodaczy, prawdopodobnie politycznych przywódców religijnych. Przed miastem Baalbek wojskowy punkt kontrolny. Przejeżdżamy, uchylając jedynie boczną szybę, aby żołnierze lepiej widzieli, kto jest w środku.

Pierwszym obiektem, na który trafiamy w mieście, jest okazały złoty meczet obwieszony czarnymi i czerwonymi chorągwiemi. Od razu widać, że jest to szyickie miejsce kultu. Złota kopuła, złote minarety, przepychem i kształtem do złudzenia przypominają te z sanktuariów szyickich położonych w Iraku – imama Husajna w Karbali, jego ojca, imama Alego w Nadżafie, czy Al-Kazimijja w Bagdadzie.

Mijamy złoty meczet, który wygląda na zamknięty. Zza szyb auta robimy ukradkowe fotki. Tutejsza historia głosi, że w Baalbeku w 680 roku n.e. miała umrzeć Chaula, córka imama Husajna, a więc prawnuczka proroka Mahometa (zmarłego w roku 632). Jej grób obudowano meczetem. W ostatnich latach,

dofinansowane przez irańskich ajatollahów, miejsce to nabrało przepychu. Sanktuarium Chauli w Baalbeku jest tłumnie odwiedzane przez rzez szyytów, przybywają tu pielgrzymki z wielu krajów. Wiernym nie przeszkadza fakt, że źródła historyczne nie odnotowują, aby imam Husajn miał córkę o takim imieniu.

## Słoneczne miasto kosmitów

Kilkaset metrów za złotym meczetem zatrzymujemy się na parkingu przylegającym do zespołu świątyń rzymskich. Ten zabytkowy kompleks to już czwarty na libańskiej liście zespół obiektów wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Kolejne osady i świątynie powstawały tu od czasów neolitycznych przez okres brązu i żelaza. Baalbek wzięła swą nazwę od czczonego w czasach fenickich boga wiatrów i burz Baala Haddada. W czasach helleńskich kultem obdarzano boga słońca, Heliosa, stąd grecka nazwa miasta Heliopolis, a w rzymskich – Jowisza.

Jest to miejsce niezwykle. Zabytków z okresu antyku w basenie Morza Śródziemnego i na całym Bliskim Wschodzie jest bez liku. Niektóre są lepiej, inne gorzej zachowane, ale to, co można zobaczyć w Baalbeku, powala swą monumentalnością i gigantyzmem. Sposób ich powstawania do dziś jest przedmiotem sporów wielu naukowców i daje szerokie pole do snucia fantastycznych teorii. Te starsze odwołują się do biblijnych gigantów, inne, jak von Dänikena, znanego z koncepcji o przybyszach z pozaziemskich cywilizacji, znajdują w tym dowody na wizyty kosmitów. Dylematy nauki na temat techniki tworzenia gigantycznych budowli w Egipcie są powszechnie znane. O tych w Libanie mało kto słyszał.

Doskonale zachowana świątynia Bachusa z czasów rzymskich, ogromna i monumentalna, robi wielkie wrażenie. Droga do niej wiedzie przez dużo rozleglejsze, choć gorzej zachowane, miejsce kultu Jowisza. Tę świątynię zbudowano do I w n.e. na platformie okolonej gigantycznymi blokami monolitycznymi o wadze od 300 do niemal 500 ton każdy. W odległym o kilkaset metrów kamieniołomie odkryto obrobiony blok skalny zwany „kamieniem południa” lub „kamieniem brzemiennej”, który jest największym monolitem wyciosanym przez człowieka w starożytności. Ten 20-metrowy i 1650-tonowy kolos przewyższa pod względem wagi egipski niedokończony obelisk z Asuanu. W baalbeckim kamieniołomie leżą jeszcze dwaj młodszy bracia „kamienia brzemiennej”, odkryci całkiem niedawno, każdy

Złoty meczet w Baalbeku to szyickie sanktuarium Chauli, uważanej za prawnuczkę Mahometa.



o wadze ponad tysiąc ton. Nie ma zgodności, jak powstawały i jak miały być transportowane, stąd pole do licznych spekulacji i kosmicznych teorii.

Przytłoczeni gigantycznymi budowlami poświęconymi Jowiszowi, Bachusowi, a także Wenus, idziemy ochłonać w miejscowym muzeum, gdzie wgłębiamy się w chronologię wydarzeń i historię osadnictwa ludów, które zamieszkiwały Baalbek od czasów prehistorycznych po współczesność.

Po zwiedzeniu ekspozycji wracamy do samochodu i na stacji benzynowej pytamy, gdzie możemy dobrze zjeść. Pracownik bez wahania wskazuje na budynek obok, przylegający do ogrodzenia złotego meczetu Chauli. Trochę onieśmieleni takim sąsiedztwem, ale zdeterminowani, bo głodni, wchodzimy do restauracji ze złotymi – a jakże – odrzwiami i złotym napisem zachęcającym do dań z rusztu. W dużej sali tylko jeden stolik zajęty. Zapewne ruch mają tu większy, gdy meczet jest otwarty. Jak zwykle sympatyczny i uprzejmy kelner prowadzi nas do lady chłodniczej i pokazuje różne mięsiva. Zamawiamy. Finał, jak można się domyśleć, taki sam, jak zwykle. Nasze dania plus liczne przystawki na koszt firmy. Obżarstwo. Gawędzimy chwilę z kelnerem, który okazuje się być Syryjczykiem z Aleppo, ale na tematy polityczne wolimy nie wchodzić. Pijemy pyszną kawę, zostawiamy niemały napiwek i ruszamy w drogę powrotną, bo przed nami góry Libanu do sforsowania. Niestety, na planowaną wcześniej wizytę w największej libańskiej winnicy, Chateau Ksara, założonej przez jezuitów w Dolinie Bekaa w połowie XIX w., a od lat w posiadaniu jednego libańskiego rodu, nie mamy już czasu.

Znów mozolnie brniemy przez górskie drogi. Do Bejrutu docieramy oczywiście po zmroku. Jest około dwudziestej i mimo poniedziałku na ulicach tłumi ludzi i samochodów. Cudem udaje się znaleźć miejsce parkingowe przy reprezentacyjnej *al-Hamra*. Jakże inne tu wszystko niż na ziemi Hezbollahu. Nieco spacerku i siadamy w ogródku nowoczesnego baru. Tu, w nizinnym pasie nadmorskim, jest upalny wieczór. Dopisuje nam szczęście, rachunki otwarte do dwudziestej mają 50 proc. zniżki – usiedliśmy dziesięć minut wcześniej. Zamawiamy wino.

Jutro ostatni dzień, a więc jeszcze mała rundka po sklepikach. Nikt nie zaczepia, nie namawia do zakupów, nie zwraca uwagi. Na ulicach tłumi. Modnie ubrani młodzieńcy, niemal wszyscy ze starannie utrzymanymi, tak



ostatnio modnymi, brodami. Trudno powiedzieć, czy to wyraz współczesnego zachodniego szyku, czy tradycji religijnej. Panie w europejskich strojach, często takich, które u nas uznane byłyby za wyzywające. Jesteśmy w kraju arabskim, ale nieco innym. Światowa stolica. Czasem widać nawet turystów. Powoli wracamy do hotelu. Kolejne *pyjamas party*. Zielona noc.

## W morzu z bocianami

Wtorek, płynnie przechodzący w środę, będzie długi, bo odlot mamy o czwartej nad ranem. Spakowane walizki zostają w hotelu, a my nadmorską autostradą znów wyruszamy na północ. U podnóża Harisy, gdzie 600 metrów nad nami Matka Boża Pani Libanu rozpościera ramiona, skręcamy do Dżunii. Tym razem za dnia musimy znaleźć plażę. Typowy kurort. Przy nadmorskiej ulicy ciasno upakowane hotele, sklepy, restauracje, a stanąć nie ma gdzie, bo wszystko prywatne. W końcu znajdujemy niewielki strzeżony parking. Pytamy pana z obsługi, gdzie można się wykapać. Prowadzi nas w mały przesmyk między dwoma posesjami (tu ludzie są uprzejmi) i przekazuje parze siedzącej na wysokim tarasie na zapleczu budynku. Poniżej piaszczysta plaża długości ok. 80 metrów, ograniczona z dwóch stron restauracjami schodzącymi do samego morza. Tak, tu możemy zostać na kąpiel i plażowanie przez cały dzień. Niezależnie od faktu, że „my tylko na chwilę”, ta akurat uprzejmość dosyć drogo kosztuje, ale trudno narzekać, w końcu jesteśmy w kurorcie. Kąpiel w morzu, szczególnie ze świadomością, że nazajutrz o tej porze

Monumentalna świątynia Bachusa w Baalbeku jest częścią rozległego terenu zabytków antycznych pod opieką UNESCO. Pobliską świątynię Jowiszawzniesiono na platformie, która ponoć służyła wcześniej przybyszom z kosmosu jako lądowisko.





Cierpliwe oczekiwanie na plaży pozwala bezkrywo upolować morskiego kraba.

będzie się już siedzieć za biurkiem, smakuje wspaniale. Na plaży widać niewielkie otwory i świeże ślady jakiegoś stworzenia. Dłuższa chwila cierpliwości i z piasku wyłania się kremowozielony krab. Wzdłuż linii brzegowej klucze bocianów jakby trenują loty. Wyraźnie kilkukrotnie powtarzają formowanie szyku, odlatują kluczem, powracają w nieładzie i znów w szyku. Potem zauważamy, że klika z nich ląduje pomiędzy falami. Bociany w morzu to widok raczej niezwykły. Rzecz dzieje się dosyć daleko od nas, ale wygląda na to, że jeden osobnik ma problem z wystartowaniem, stąd asysta pozostałych. Zamieszanie w morzu trwa dłuży czas, aż w końcu bociany odlatują. Czy w komplecie, trudno powiedzieć.

Charbel Machluf został ogłoszony świętym na Soborze Watykańskim II.



## Dolina świętych mężów

Ruszamy dalej, nasz program turystyczny jeszcze się nie zakończył. Po drodze stajemy na popas w przydrożnym dużym bistro, gdzie zamawiamy tylko po kanapce z *falafilami*, a i tak cały stół zapełnia się mnóstwem przystawek. Zaczytany w Piśmie św. Charbel czuwa nad restauracją na półeczce. Objedzeni jak zwykle, wracamy do auta, by wkrótce z nadmorskiej trasy szybkiego ruchu skrócić na wschód, a to oznacza, że nasze picanto znów się wspina. Po drodze wspaniałe widoki na góry, te niższe z przyklejonymi domami mieszkalnymi i te wyższe, nagie i niedostępne.

Zmierzamy do Świętej Doliny – Wadi Kadisza, ostatniej pozycji z listy światowego dziedzictwa

UNESCO w Libanie. Trudno dostępna dolina o klifowych stromych ścianach z licznymi jaskiniami, w których chroniono się już w czasach prehistorycznych, stanowiła miejsce ucieczki dla prześladowanych wyznawców wczesnego chrześcijaństwa. Od kilkunastu wieków mnisi różnych wyznań mieszkają tu nieprzerwanie we wspólnotach klasztorach ukrytych w trudno dostępnych miejscach na dnie doliny, ale także wysoko w klifach, w grotach adoptowanych na pustelnie. Odosobnienia i skupienia na sprawach wyższych w tym zagubionym w górach miejscu szukali nie tylko wyznawcy chrześcijaństwa, ale również muzułmańscy mistycy.

Ponad 20 kilometrów jedziemy wzdłuż południowego skraju urwiska nad Świętą Doliną, podziwiając widoki. Rozrzuciona nad przepaścią współczesna zabudowa z małymi kościółkami ustępuje powoli miejsca surowemu klifowi z klasztorem przyklejonym do pionowej skały. Kolejne monastypy ukryły się gdzieś w dole. Podjazdy, zjazdy, podjazdy. Tych ostatnich oczywiście więcej. Po drodze mijamy tablicę informującą, że jesteśmy na wysokości 1800 metrów nad poziomem morza, a nieledwie dwie godziny wcześniej kapaliśmy się na poziomie zerowym. Wreszcie docieramy do Baszarri, małej miejscowości nad urwiskiem na końcu doliny. Stąd pochodził Chalil Dżubran, jeden z najwybitniejszych twórców współczesnej arabskiej prozy poetyckiej XX wieku. Przy takich widokach można stać się wrażliwym. Wsiadamy z auta, by nasycić się okolicą. Obok w skalnym nawisie urządzona jest szopka ze sceną narodzin Chrystusa. W dolinie są nadal czynne klasztory, do których docierają tylko najbardziej wytrwali piechurzy. Przed nami wysoki klif w kolorach wieloodcieniowego brązu przetykanego gdzieś kępami zieleni. U podnóża, daleko w dole, przycupnął niemal niezauważalny, maleńki z tej wysokości, klasztor. To monastyr św. Eliasza (arab. *mar al-Lisaa*), wspomniany w źródłach od XIV wieku. Dziś dzieli go dwie wspólnoty, maronitów i karmelitów bosych. Do samego klasztoru można zjechać stromą, krętą drogą, przed którą postawiono znak zakazu wjazdu autobusów. Nic dziwnego, z góry widać, że na niektórych zakrętach i rowerem byłoby się trudno złożyć. Fajnie byłoby zobaczyć jedyny monastyr na dole, do którego można dojechać autem. Szacujemy siły. Czy nasz maluszek wytrzyma zjazd, a przede wszystkim powrót na skraj klifu? Jest już późne popołudnie, do Bejrutu jeszcze daleka droga, potem na lotnisko. Rozsądek nakazuje odwrót.

## Ostatnie cedry w Libanie

Wraz z Wadi Qadisza na listę UNESCO wpisany został Las Bożych Cedrów, jedno z kilku ostatnich skupisk miejscowego symbolu narodowego. Niegdyś wzgórze Libanu gęsto porastał las cedrowy, dziś to już tylko 3-4 pilnie strzeżone niewielkie rezerваты. Przez wieki wycięto niemal wszystko. Najstarsze okazy Bożych Cedrów mają po 1500 lat. Z Baszarri jest całkiem niedaleko, ale w przeciwnym kierunku. Tam już nie pojedziemy. Jednak, by nie wracać po własnych śladach, wybieramy drogę, która daje szansę zajrzeć do oddalonego o 20 km Rezerwatu Lasu Cedrowego Tannourine. Niełatwo tam trafić, bo droga mocno „boczna”, a nawigacja nieco oszukuje. W końcu jednak docieramy. Pan przy kasie informuje nas, że jest kilka szlaków wędrowki wśród różnych drzew, w tym starych cedrów, ale trzeba na to poświęcić od jednej do kilku godzin. Wiemy, że nie stać nas na ten luksus, bo słońce nisko, a do Bejrutu jeszcze 2,5 godziny. Zatem tylko fotka na skraj rezerwatu i dalej w drogę.

Okazuje się ona być jeszcze bardziej kręta i wąska, a na dodatek w niektórych miejscach rekonstruowana. Na długich odcinkach nie ma żywego ducha. Trochę mamy stracha, czy przed ciemną nocą uda nam się wydostać z tych pustych górskich ostępów, czy droga się nie skończy, czy autko wytrzyma trudy. Gdyby tutaj coś zaszwanowało...

## Piorunujący powrót

Wprawdzie gdy zapada ciemność, jesteśmy nadal daleko i wysoko w górach, ale przynajmniej udaje się dojechać do nieco szerszej drogi. Tymczasem zbiera się na burzę. Błyskawic coraz więcej. Na przedmieściach Bejrutu pioruny walą zarówno we wzgórze z lewej, jak i w morze z prawej. Jeden za drugim. Szalony wichur kotłuje piachem, śmieciami z pobocza, a nawet plastikowymi krzesłami. Zaczyna padać deszcz. Wycieraczkami nie nadążają. Intensywna ulewa mocno daje się we znaki w gęstym podmiejskim ruchu. Nasze plany pożegnane spaceru po Bejrucie biorą w łeb. Co robić? Znajdujemy w nawigacji pobliskie centrum handlowe i tam, w typowym, niemal pustym *mallu* łazimy, jemy, kupujemy. Gdy po godzinie dwudziestej drugiej wychodzimy, deszcz właśnie przestaje padać.

Aby nie dopłacać za kolejny dzień, samochód musimy oddać na lotnisku do północy, ruszamy zatem do hotelu po bagaże. Ku naszemu zdumieniu, po nieznacznym odchyleniu oparcia tylnej kanapy, cztery walizki pod-



ręcznych rozmiarów bez problemu wchodzi do bagażnika picanto. To jednak bardzo dzielne auto. Sprawnie docieramy do stanowiska Avisy na parking przy lotnisku i zwracamy samochód. Nie bez żalu.

## To już jest koniec

Do odlotu mamy 4,5 godziny. Na lotnisku jest potwornie zimno. Nie wiedząc czemu, ktoś postanowił wymrozić pasażerów klimatyzacją. W hali kłębi się tłum na czarno ubranych młodych ludzi. Na głowach przepaski z imieniem Boga. Są też dziewczyny z zakrytymi włosami i też na czarno. Na tablicy informacyjnej widzimy, że tej nocy odlatuje siedem samolotów do Nadżafu. To muzułmańscy szyici pielgrzymują do grobu imama Alego w Iraku.

I tak kończy się nasza intensywna 5-dniowa wycieczka do Libanu. Była pełnym zaskoczeniem. Wyłącznie pozytywnym. Liban jest niewielkim krajem, który ma do zaoferowania wiele pod wieloma względami. Uprzejmi i nienatarczywi ludzie. Wspaniałe zabytki i przyroda. Dziedzictwo kulturowe ludzkości. Koegzystencja religii. Niewielu turystów. Cały kraj w zasięgu jednodniowego wypadu. Stosunkowo przystępne ceny.

Zwracać jednak należy uwagę na sprawy bezpieczeństwa. Dzień po naszym wyjeździe rozpoczęły się w Libanie intensywne manifestacje antyrządowe. Zakotłowało się na wiele dni. Blokowano dojazd na lotnisko, ulice w Bejrucie i międzymiastowe trasy. Tydzień później nasza eskapada nie byłaby już tak udana.

Adam J. Dubiński

Test na spostrzegawczość: w Świętej Dolinie, u stóp urwiska, przycupnął klasztor św. Eliasza.